

Przepraszam, którą do Itaki?

„- A powiedz mi szczerą prawdę, abym wiedział: co to za ziemia? Czyj kraj? Jacy tu ludzie mieszkają? (...)Słyszałem o Itace,(...) a dziś sam się tu znalazłem z tymi skarbami. Drugie tyle zostawiłem dzieciom, gdy uciekałem(...)”.

Homer „Odyseja”

Trzeba się było skusić, chociaż wtedy, tuż po studiach, wyjazd na zawsze z rodzinnego Wrocławia, nawet te 60 km dalej, wydawał się emigracją. Praca dla obojga i mieszkanie w nowym bloku. Tym nie mogli ogardzić. Ona została nauczycielką w miasteczku, on na wsi. Przecież Syców, to nie koniec świata. Nie była nim nawet Działosza, do której mógł dojeżdżać choćby rowerem.

Między samych swoich

- Zacząłem sobie zadawać pytanie: gdzie właściwie jestem, co to za ziemia, w końcu to nie tylko ja jestem tu przybyszem. Na prawdę tutejsi są tylko moi uczniowie, bo tu się urodzili. A ich rodzice, dziadkowie? -To prawda, że tu, na Dolnym Śląsku wszyscy jesteśmy skądś.

W dużym mieście się już tego nie odczuwa. Minęło w końcu pół wieku. Na wsi jest inaczej. Czas płynie wolniej, a ludzie bardziej szanują własną pamięć. - Stanisław Kozłowski przypomina sobie dylematy sprzed kilku lat.

Zadawanie pytań zaczął od tych najmłodszych. I to na ocenę. Poprawiał potem na czerwono błędy ortograficzne, chociaż w tych wypracowaniach nie pisownia była ważna.

„ Moja rodzinna miejscowość nazywa się Działosza. Kiedyś za nie miała takiej nazwy. Z czasów wojny został tylko cmentarz niemiecki i kaplica z karawanem oraz stare budynki.”

„Tu, gdzie mieszkam, jest najwyższe wzniesienie i stąd rozciąga się rozległy, piękny widok na las i okoliczne pola. Stąd też widać najlepiej Wielowieś, Św. Marek, Wojciechów i pobliski Syców.

„Dawniej te obszary zamieszkiwali Niemcy. Po wojnie przybyła tu ludność z różnych stron Polski i wszyscy tworzą teraz jedną społeczność.”

Trzeba było wypytać o szczegóły. Szkolny Klub Dziennikarzy to była nazwa, która brzmiała lepiej niż „kółko zainteresowań”. Poza tym

dzieci są bezczelne

i bardziej dociekliwe, niż dorośli dziennikarze. Nawet im nie przyjdzie do głowy, że o coś lepiej nie pytać, bo nie wypada. A jak rwały się do tego dojrzałego wyglądu, jakiego 10 -12 latkom dodawał dyktafon. Drzwi się przed nimi otwierały, jak przed ministrantami z

opłatkiem. Sami swoi. Poza tym ile razy własny wnuczek do własnej babci powiedział „czy może mi pani wyjaśnić” i jeszcze te wyjaśnienia nagrywał na prawdziwy, magnetofon, tyle razy w domu był ryk wesołości lub wymuszona powaga. Aż do chwili, gdy zaczynały się niczym nieskrępowane pytania małych ludzi o duże sprawy. Na przykład wywiad z panią Schabową szedł tak.

- Jakie było pani dzieciństwo?

- Nie bardzo było wesołe, bo nie było w nim rozkoszy. Chodziłam 3 lata do czwartej klasy, choć byłam zdolna. To przez wojnę wszystko. Nie było też wesoło, jak żeśmy tu, na ziemię odzyskane, przyjechali. Miałam już jedno dziecko, a z drugim byłam w ciąży. Ten dom był pełen brudów, do tego pełno książek po niemiecku, cudów różnych, że my nie mogli drzwi otworzyć.

- Czy mieliście już wtedy sąsiadów?

- W tym domu obok jeszcze był Niemiec. Tu gdzie Dorotka mieszka, też. W koło już byli i Polacy. Z Kieleckiego, zza Buga.

Albo państwo Drabężowie tak odpowiadali.

- W czasie okupacji żandarmi zabrali męża do Oświęcimia, do obozu. Wtedy jego siostra wyszła za Niemca i ona go z tego obozu wyratowała, bo by zginął.

- Czy doznał tam jakichś obrażeń?

- No, doznał. Uszy miał poprzytrzaskowane, dlatego tak lichy teraz słyszy. Ale to nic. Tam były takie komórki gazowe do duszenia. Jakby się siostra za tego Niemca, a to porządny był człowiek, nie wydała, to by tam poszedł. To już było w 45 roku, prawie koniec wojny. Wiktor Balke się nazywał. Zmarł w 56 roku, w Niemczech. A ta siostra jeszcze żyje. Mąż też, dziękować Bogu i Balkemu, żyje. Tyle, że lichy słyszy.

Pan od polskiego zwątpił

czy dobrze robi. Do dyktafonu rwali się coraz młodszy. Trzeba było potem z nimi rozmawiać o tym, co nagrali. I trzeba było być mądrzejszym, a to przestawało być takie oczywiste, jak na lekcji gramatyki czy przy normalnej programowej czytance. Zastosował więc stary, belferski wybieg. Kolejne wypracowanie.

„W Szkolnym Klubie Dziennikarzy robimy wywiady z mieszkańcami wsi i okolic. Zależy nam najbardziej na ludziach, którzy żyli tu od dawna i zanim tu przybyli, przeszli różne dramatyczne koleje losów. Zbieramy i zapisujemy te informacje, aby stworzyć jedną całość o tak zwanej małej ojczyźnie”.

„Nasz pierwszy wywiad był bardzo śmieszny, bo w połowie rozmowy skończyła się kasetka, ale pani Żarecka mówiła dalej twierdząc, że jej to nie przeszkadza, ponieważ i tak nic z tego

nie wyjdzie. Drugi nasz wywiad był z panią Grabowską, która dużo nie dostyszała, wtedy pytania powtarzała jej córka głośno.”

„Pojechaliśmy do Sycowa, do mojej babci, która ma na imię Marianna i robiliśmy wywiad. Babcia poczęstowała nas herbatą i chrupkami. Na dworze leżał śnieg i było bardzo pięknie. Poszliśmy po wywiadzie do parku i zjeżdżaliśmy na butach.”

„W Działoszy, gdzie mieszkam, chciałabym zmienić park, w którym pan Józek zrobił sobie pole i posadził tam ziemniaki.”

Teczki z wypracowaniami puchły. Kaset w szkolnej szafie z napisem SKD przybywało.

Szumiały, skrzypiały, ale nie kłamały.

Wywiad z panem Antczakiem był wyjątkowo długi. Trzech chłopaków z SKD wypytywało go na przemian.

- Jakie były pana marzenia w dzieciństwie i które się spełniły?

-Chciałem studiować i mieć ciekawy zawód. Największe cięgoty miałem do fotografii. Ale przyszła wojna i żadne się nie spełniły.

- Dlaczego się pan tu osiedlił, zamiast zostać w domu?

- Wieś, w której mieszkałem była spalona 3 września 39 roku. Zostałem wywieziony do obozu jako podoficer. Postanowiłem w 45 roku wyjechać na tzw. ziemie odzyskane. W budynku, w którym zająłem, był jeszcze Niemiec August Redler z żoną. Pan Redler był całe życie murarzem powiatowym. Budował np. szpital. Jak tu nastąpiła Polska był bardzo schorowany. Poruszał się na łokciach i kolanach. Jak schodził do piwnicy po ziemniaki, to mu się starałem pomagać. Kiedyś przyjechał do naszej wsi niemiecki lekarz z Sycowa, pan Miller, dla którego kiedyś szpital budował pan Redler. Udałem się do niego i powiedziałem, jaki chory jest pan Redler. Natychmiast kazał go przywieść do tego szpitala, który sam budował i po dwóch tygodniach wrócił do domu normalnie wyprostowany. Państwo Redler zostali przesiedleni do Niemiec wiosną 1946 roku. On już nie żyje, o czym dowiedzieliśmy się od jego córki, zamieszkałej w Niemczech.

Franciszek Zgoda

nie dożył wywiadu

Udzieliła go więc jego córka, która też dużo pamiętała.

- W czasie wojny byliśmy wywiezieni z rodzicami do przymusowych prac u baera. Jak się wojna skończyła, do naszej wioski nie było po co wracać, bo wszystko było spalone i dlatego przyszliśmy na ziemie odzyskane. Przyjechaliśmy z wujkiem koniem, na furmance z pakunkami.

- Na jakiej zasadzie był przydzielany dom?

- Gdzie się kto osiedlił, tam bidował.

„Ludzie ci zapytani o wskazówki dla następnych pokoleń, zawsze mówią, że szkoła życia nauczyła ich, by ciągle być dobrym, bo tak na prawdę najbardziej w życiu liczy się dobroć.”

„W mojej wsi jest ok. 100 ludzi. Niektórzy są sobie gniewni. To mi się nie podoba, bo powinno być inaczej.

We wsi nie zmieniałbym niczego, oprócz tych ludzi, o których na początku wspomniałem. Najważniejsze, że mamy Szkolne Koło Dziennikarzy i robimy wywiady z najstarszymi ludźmi. Jesteśmy od tego mądrzejsi, chociaż oni nieraz płaczą.”

Pani Czaja miała 7 lat, gdy przyjechała tu z rodziną.

- Ten dom zastaliśmy pusty. Chodziliśmy po innych domach, znosiliśmy talerze, gary, inne rzeczy potrzebne do życia. Później konia żeśmy dostali z UNRRY. Zaczęłam chodzić do szkoły w 47 roku w Działoszy. Uczył Jurasiński Bolesław. Jeden nauczyciel uczył wszystkie klasy i wszystkich przedmiotów. Przede wszystkim polski i matematyka.

A po co wam to?

Pytali staruszkowie dzieci, a dzieci odpowiadały, że do dokumentacji historycznej. Brzmiało dość niejasno. Nauczyciel na wszelki wypadek napisał uczniom ściągę i powielił na ksero. Każde dziecko miało odczytać ten tekst przed wywiadem.

„Szanowni państwo!

W miarę możliwości prosimy o udzielenie przedstawicielom Szkolnego Koła Dziennikarzy jak najbardziej wyczerpujących odpowiedzi. W efekcie prowadzonych prac chcemy zgromadzić dokumentację historyczną na temat repatriacji i osadnictwa Polaków na ziemiach odzyskanych wskutek zmian terytorialnych po II wojnie światowej.”

Na panią Kołodziej zamierzyło się

dwóch z V klasy.

- W jakim stanie była ta osada, gdy pani tu przyjechała w 45 roku?

- Jak po wojnie. Na dzwonnicy był dzwon, ale wszystko rozkradli, nie wiadomo kto. Trudno. Za Żareckim był cmentarz. Teraz jest zdewastowany, już po cmentarzu. Szkoda.

- Jak się gospodarzyło na początku?

- Mieliśmy 9 hektarów i konia z UNRRY.

- Jakie pani miała dzieciństwo, czy w coś się pani bawiła?

- Jak miałam 13 lat wywieźli mnie do Królewca na przymusową pracę. Później mnie wzięli do obozu, bo nie nosiłam „P”. Jadło się brukiew. Pracowaliśmy w lesie. Gonili nas po 20 km pieszo.

- A Niemcy konno?

- Nie, rowerami.

- A małe dzieci, czy się rodziły? Bo może jakieś małżeństwa były tam porwane...

- Tak, rodziły się. I zaraz zastrzyki dawali i maleństwo umierało.

- To specjalnie je zabijali?

- Tak.

- A miała tam pani jakiegoś przyjaciela albo koleżankę? Rozpoznała by pani teraz kogoś z nich?

- Tam wszyscy byli koleżanki i koledzy. Wszyscy wspólnie, wiesz, żeby przeżyć.

- A były próby ucieczki?

- No, były. Jak złapali, to zaraz rozstrzelali.

- Widziała pani osobiście, jak kogoś zabijali?

- Tak. Był taki młody chłopak, który wziął dwie cebule z pola, bo był głodny. Znaleźli u niego i zaraz go rozstrzelali, przy nas.

- A był przedtem na przykład jakiś ksiądz? Bo jak był katolikiem, to mu się należało ostatnie namaszczenie.

- Nie.

Pani Zarembowa została raz zaproszona na zajęcia SKD i wywiad z nią odbył się w szkole.

Nie czuję nienawiści

do Niemców – powiedziała dzieciom. - A już absolutnie nie do tych, którzy tu przed nami i trochę z nami mieszkali, pod jednym dachem, zanim ich wysiedlili za nową granicę. Nie wszyscy Niemcy to hitlerowcy. Oni może i bardziej Hitlera nie lubili niż my. To byli zwykli ludzie, rolnicy. Pracowali jak my, w polu. Mieli dzieci, posyłali je do szkoły, obchodzili święta, za czymś tęsknili. Żyli po prostu, jak każdy człowiek chce żyć.

- A spotyka ich pani nieraz w Działoszy?

- Tak, przyjeżdżają. Głównie dzieci i wnuki tamtych gospodarzy, bo oni sami albo wymarli, albo za starzy na taką drogę. Każdego ciągnie do korzeni. Pochodzą, porozglądają się po swoim starym domu, do ogrodu pójdą, na kawę wstąpią i jadą swoją drogą. To nie ich wina przecież, że tak się na tym świecie stało. Ani nasza- powiedziała pani Zarembowa i poszła do domu. Szkolna dziennikarka za nią. Rozsiadły się w kuchni i oglądają star djęcia. Jak pani Zarembowa była młodziutka, Działosza dopiero co polska, a sąsiedzi w dwóch językach mówiący. Zapytana o nienawiść, dziwi się i aż zaśmiewa.

- Tych naszych Niemców, za co by nienawidzić? Że swoje wycierpieli i ze swojego musieli iść, tak jak i my? Dobrze, że wy, dzieci, nie wiecie, co to jest rzucić wszystko i w drogę, w nieznaną. Was już nikt stąd nie wygoni. Uczyć się możecie i wtedy iść w świat, jak się wam

zechce. A my, starzy i tamci starzy, swoje zebraliśmy na grzbiet. To za co się mamy nienawidzić? Co innego tamci Niemcy, co nas w czas wojny męczyli. Hitlerowcy, znaczy. Ale to też nie ma co rozpamiętywać, bo oni już pewnie pomarli i już za swoje pokutują. Nieżywym złożyć to grzech.

- Odwiedzają panią nieraz tamci swoi Niemcy?

- Był u mnie raz taki, co jak był chłopczykiem, to się w stawie topił, a ja go wyratowałam. Po pięćdziesięciu latach przyjechał, żeby mi podziękować. Do niektórych, jak przyjeżdżają Niemcy, to nawet marki zostawiają na odremontowanie domu, albo tak, w prezencie coś zostawiają.

Tędy do Itaki

- Zbiorę to kiedyś w całość – zarzeka się Kozłowski, pan od polskiego z SP w Działoszy. – Trudno się za to wziąć, bo ciągle dowiadujemy się o kolejnych osadnikach, kolejni dziennikarze kończą podstawówkę, a garną się nowi. Końca nie widać. Trzeba by się też wreszcie zabrać za tych „naszych Niemców”, którzy tu przyjeżdżają. Wtedy byłby komplet. W końcu tak dla nas, jak dla nich, ta ziemia, to jakby Itaka. Jedna z dziewczynek napisała w wypracowaniu:

„Lubię w niedzielę, razem z mieszkańcami Działoszy, spotkać się w Kościele i pomodlić się razem z nimi o nadejście lepszych czasów na świecie.

W ciepłe dni lubię chodzić na tzw. Drogę Markowską. A latem, gdy dojrzewają czereśnie, na tzw. Drogę Czereśniową. Od kiedy robię te wywiady w SKD, to jak tak idę, to uważam, żeby kogoś nie nadepnąć.”